



Klasyka literatury

ALEKSADNER DUMAS

HRABIA MONTE CHRISTO

TOM I

POWIEŚĆ



Aleksadner Dumas

Hrabia Monte Christo
Tom I

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2017

Aleksander Dumas
„Hrabia Monte Christo”

Copyright © by Aleksander Dumas, 1929
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2017

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Chmielewski Łukasz
Projekt okładki: Kamil Skitek
Druk: Drukarnia Literacka
Wydawnictwo: Biblioteka Rodzinna
Warszawa, 1929

ISBN: 978-83-8119-010-7

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

CZEŚĆ I.

W SZPONACH NIKCZEMNIKÓW.

ROZDZIAŁ I.

PRZYBYCIE „FARAONA“.

W słonecznym i bardzo ciepłym dniu 27 lutego 1815 r. dano z wieży kościoła Notre Dame de la Garde, w Marsylii, hasło, zapowiadające powrót z podróży do Smyrny, Tryjestu i Neapolu — trójżaglowca „Faraon“.

Strażnik, wartujący na molo, udał się wtedy natychmiast, jak mu to nakazywał obowiązek, z portu znajdującego się pod skałami, na których stały mury zamku If, na spotkanie przybysza, pomiędzy przybytkiem Mogiolu a wyspą Rion.

Jak zwykle, gdy sygnały oznajmiały przybycie statku, taras pod twierdzą Św. Jana zaległy natychmiast tłumy ciekawych. Dla miasta portowego bowiem przybycie każdego statku, a cóż dopiero takiego jak Faraon, jest wielką uroczystością.

Faraon bowiem był jakby dzieckiem Marsylii; zbudowany był w miejskich zakładach, w Marsylii ekwipowany i ładowany, wreszcie jego właścicielem był człowiek ogólnie lubiany i szanowany.

Statek zbliżał się do portu, już przebył cieśninę pomiędzy wyspami Calasareigne i Jaros, następnie minął Pomegę, płynął wszelako tak powoli i w takiej ciszy nieruchomej załogi, iż szedł od niego jakiś posępny i mroczny wiew.

Tak posuwać się może jedynie nieszczęście.

Doświadczeni żeglarze wywnioskowali wszelako, że jeżeli statek spotkało istotnie jakieś nieszczęście, to przytrafiło się ono nie statkowi samemu napewno, ponieważ, aczkolwiek płynął on bardzo wolno, to jednak posuwał się w największym porządku, jak statek znajdujący się w najlepszym stanie i kierowany biegłą i umiejętną ręką.

Kotwicę miał spuszczoną, żagle zwinięte, obok pilota zaś widać było stojącego młodego, pełnego życia mężczyznę, który bacznym okiem czuwał nad każdym

ruchem okrętu i każdy rozkaz przewodnika polecał załodze do wykonania.

Los Faraona był tak bliski marsylczykowi, że na twarzach zebranego tłumu widać było duże zaniepokojenie, szczególnie zaś poruszonym był jeden z wyczekujących, który, nie mogąc wreszcie stłumić wzruszenia, siadł do małej łódki i popłynął na spotkanie statku.

Na widok przybijającego, młody marynarz, który do tej chwili stał przy pilocie, opuścił go i poszedł naprzeciw przybyłego.

Marynarz ten był zaledwie dwudziestoletnim młodzieńcem, smukłym, słusznego wzrostu, o pięknych czarnych oczach i kruczonych włosach. W jego postawie przebijał spokój, właściwy tym, którzy nawykli do walk z niebezpiecznym żywiołem morskiej otchłani.

— To ty, Dantesie?! — zawołał na jego widok przybyły — cóż to się stało?... co za przyczyna tego smutku na pokładzie?

— Nieszczęście, wielkie nieszczęście! — panie Morrel — odrzekł młodzieniec — nieszczęście nie do cofnięcia! Na Civitavecchia straciliśmy zacnego kapitana naszego!

— Leclerc nie żyje! Pojmuję teraz wasz smutek. Ładunek i statek, widzę — w porządku?

— Najzupełniej.

— Lecz cóż to się stało z Leclerkiem? Zachorował, czy może utonął?

— Umarł w gorączce — odpowiedział zapytany — a potem zwracając się do załogi: — „Hola! osadzić okręt” — zawołał.

Rozkaz natychmiast i w największym porządku został wykonany.

Wtedy młody marynarz, rzuciwszy bacznym okiem na wszystko, zwrócił się znów do pana Morrel.

— Opowiedz, mój drogi, jak to się stało? — zapytał ten ostatni.

— Ach, Boże! nieszczęście to spadło na nas nagle, jak grom. Już w Neapolu zauważyłem u kapitana pewne podniecenie, które się spotęgowało niezwykle po jego rozmowie z komendantem portu, tak, że miasto to kap. Leclerc opuścił bardzo wzruszony. W 24 godzin dostał silnej gorączki, a w trzy dni potem już nie żył. Z wielkim żalem musieliśmy mu oddać ostatnią posługę i nasz drogi kapitan spoczywa z 36-o funtową kulą u nóg na dnie morskim, w pobliżu wyspy del Giglio. Odwozimy wdowie krzyż legji honorowej i nieskalaną szpadę nieboszczyka. Okropne to, naprawdę, przez lat dziesięć walczyć z Anglikami i umrzeć potem —

w łóżku, jak pierwszy lepszy szczur lądowy.

— Ha! wszyscy jesteśmy śmiertelni. Szkoda, wielka szkoda Leclerca, lecz zdarzyć się mogło o wiele gorzej; wraz z nim zginąć mógł i okręt i ładunek...

— Co do tego ostatniego, to znajduje się on w najlepszym stanie — odpowiedział młodzieniec.

A zwracając się do załogi, krzyknął następnie: Zwiąć żagle i szykować łodzie.

Rozkaz został spełniony z taką precyzją i szybkością, jakby na wojennym statku i okręt posuwał się dalej jedynie już samą siłą rozpędu.

— Teraz, panie Morrel — powiedział Dantes, bo tak się nazywał młodzieniec — może zechcesz porozmawiać z buchalterem, p. Danglarsem, który udzieli panu wszelkich objaśnień, ja bowiem jestem zmuszony go opuścić, by zlustrować okręt i wywiesić flagę żałobną.

W tejże chwili Danglars pośpieszył na spotkanie właściciela. Był to człowiek lat dwudziestu pięciu, o ponurej twarzy; z tej zapewne przyczyny cała załoga, o ile kochała Edmunda Dantesa, o tyle była usposobiona niechętnie dla Danglarsa. — Już wiesz zapewne, panie Morrel, o nieszczęściu?... — Wiem. Biedny Leclerc, dzielny i zacny był to człowiek.

— A nadewszystko — był to marynarz doskonały, jak przystało człowiekowi, w którego rękę spoczywały interesy tak znakomitego, jak „Morrel i Syn” domu — odrzekł Danglars uniżenie.

— Zdaje mi się jednak — odrzekł właściciel, obrzucając bystrem spojrzeniem Danglarsa — że niekoniecznie trzeba być starym marynarzem, aby znać dobrze swe rzemiosło. Przykładem tego choćby nasz Edmund Dantes; ten napewno zawsze i w każdej potrzebie da sobie radę.

— Zapewne — odparł Danglars, spoglądając na Dantesa wzrokiem, w którym czaiła się zawiść. — Niewątpliwie jest to młodzieniec bardzo energiczny i przedsiębiorczy. Ledwo kapitan zamknął oczy — natychmiast samowładczo objął po nim dowództwo i zamiast udać się prostą drogą do Marsylji, stracił całą dobę na Elbie.

— Że obrał dowództwo — pochwalam to w całości, jego obowiązkiem nawet było tak właśnie uczynić; że stracił dobę na Elbie — jest sprawą nieco gorszą, lecz może okręt potrzebował jakiej naprawy?...

— Okręt był w najlepszym stanie; przywidziało mu się być na Elbie przez dobę, nic ponad to.

— Dantes, proszę cię! — zawołał właściciel, zwracając się ku młodzieńcowi.

— Będę służył za chwilę — odrzekł Dantes. — „Zarzucić kotwicę” — zwrócił się do załogi.

Kotwica opadła w moment po daniu rozkazu. Dantes krzyknął wtedy:

— Spuścić flagę do połowy masztu, zwinąć żagle na znak żałoby i skrzyżować reje!

— Czy pan uważa — podszepnął Danglars — ten Dantes ma się najzupełniej za kapitana. Słowo daję!...

— Jest nim przecież w tej chwili bezspornie — odparł właściciel.

— Brak mu tylko patentu z podpisem twoim, panie Morrel, i twoich współników.

— A dlaczegoż byśmy nie mieli mu zaofiarować tego stanowiska? Młody jest, to prawda, ale zdolny, sprężysty i wyrobiony.

Danglars nachmurzył się w odpowiedzi i zmarszczył brwi.

W tej chwili zbliżył się do rozmawiających Dantes, ze słowami: najmocniej przepraszam pana, p. Morrel, że nie przybyłem natychmiast, lecz byłem zajęty. Teraz, gdy okręt jest już na kotwicy — służę panu.

Danglars cofnął się nieco, zaś Morrel zapytał:

— Dlaczego zatrzymałeś się na Elbie?

— Dlaczego? — nie wiem dokładnie. Czyniąc to, spełniłem tylko rozkaz umierającego kapitana, który na godzinę przed śmiercią polecił mi oddać depezę marszałkowi Bertrand.

— I widziałeś go?

— Kogo? Marszałka? Widziałem.

Morrel obejrzał się wokoło i odprowadził na bok Dantesa.

— Jakże się ma cesarz?

— O ile sądzić mogę, z tego, com widział, to dobrze.

— Widziałeś więc i cesarza także?

— Kiedym był u marszałka, cesarz wszedł tam właśnie.

— Mówiłeś z nim?

— To jest... cesarz raczej mówił ze mną — odpowiedział, uśmiechając się, Dantes.

— I o czym z tobą mówił?

— Zapytał mnie, kiedy statek wypłynął z Marsylji, jaką płynął drogą i jaki ma

ładunek. Zdaje się, iż byłby go kupić, gdyby był bez ładunku i gdyby był moim. Odpowiedziałem, że jestem tylko porucznikiem okrętu i że należy on do domu „Morrel i Syn”.

— O! zawołał cesarz wtedy — znam dobrze ten dom. Morrelowie od wieków są właścicielami handlowych okrętów; jeden z tych Morrelów służył w tym samym pułku co i ja, kiedy stałem garnizonem w Walencji.

— Prawda! — wykrzyknął radośnie właściciel statku. — Cesarz mówił o Polikarpie Morrelu, moim rodzonym stryju, Dantesie, mój drogi, sam powiesz stryjowi, że cesarz go pamięta, a zobaczysz, że stary rozplącze się z radości. No chodźmy! — rzekł następnie, uderzając młodzieńca po ramieniu — chodźmy, Dantesie; dobrześ zrobił, że spełniłeś rozkazy Leclerca, dobrześ zrobił, żeś się zatrzymał na Elbie, chociaż gdyby wiedziano, żeś miał depeszę do marszałka i żeś mówił z cesarzem, mógłbyś sobie djabelnie zaszkodzić.

— A to z jakiej racji? — rzekł Dantes. — Czyż ja wiem, co odwoziłem? Spełniłem jedynie rozkaz. Lecz przepraszam pana raz jeszcze, że zmuszony jestem znów odejść. Obowiązek mnie woła, załatwić muszę formalności celne i opowiedzieć się służbie sanitarnej.

— Wybacz, że ci przeszkadzam, mój drogi Dantesie; rób co trzeba i jak trzeba.

Gdy młodzieniec oddalił się, do Morrela podbiegł natychmiast Danglars.

— I cóż? — zapytał — usprawiedliwił się panu Dantes ze swego pobytu w Porto Ferrajo?

— Najzupełniej, kochany panie Danglars.

— Tem lepiej. Przykro to bowiem mieć towarzysza pracy nie spełniającego swych obowiązków.

— Dantes jest dzielnym chłopcem i przewybornym marynarzem — odparł właściciel — nie może to ulegać najmniejszej wątpliwości. Zaś na Elbie się zatrzymał z tej przyczyny, iż taki miał rozkaz od zmarłego kapitana.

— Od Leclerca? To mi przypomina jeden fakt. Czy Dantes nie oddał panu listu od kapitana?

— Nie. A czy miał jakiś list?

— Zdawało mi się, że prócz pakietu, kapitan Leclerc wręczył mu i jakiś list również.

— O jakim pakiecie mówisz? — panie Danglars.

— O tym, który Dantes oddać miał w Porto Ferrajo.

— Skądże wiesz, iż miał tam jakiś pakiet do oddania?

Danglars zarumienił się gwałtownie.

— Przechodziłem wypadkiem około nawpół przymkniętych drzwi kapitana, gdy ten oddawał właśnie Dantesowi jakiś list i pakiet.

— O liście nic nie wiem, jeżeli go dla mnie ma, odda mi go niewątpliwie.

— Panie Morrel — odpowiedział wtedy Danglars po chwilowym namyśle — nie wspominaj nic Dantesowi o tem wszystkim, proszę cię o to bardzo, mogłem się pomylić....

W tej chwili Dantes powrócił. Danglars znów chyłkiem się usunął.

— Cóż, skończyłeś już wszystko? — zapytał właściciel.

— Tak jest.

— Szybko się załatwiłeś.

— Nie wiele miałem do roboty. Oddałem spis towarów, zaś wszelkie inne papiery posłałem również tam, gdzie należy.

Mówiąc to, rozejrzał się dookoła.

— Tak jest, już wszystko zrobione i wszystko jest w należyтым porządku.

— W takim razie zabieram cię na obiad.

— Zechce pan wybaczyć mi, lecz mam starego ojca; jego pierwszego muszę powitać. Dziękuję za zaszczyt z całego serca.

— Nie mam ci tego wcale za złe; wiem, że byłeś zawsze dobrym synem.

— A czy pan nie wie wypadkiem — nieśmiało zapytał Dantes — jak tam się miewa moje ojczysko?

— Myślę, że dobrze, chociaż przyznam ci się, mój Edmundzie, że go już dosyć dawno nie widział.

— Starowina nie wychodzi prawie ze swego pokoiku.

— Co dowodzi, że mu w czasie twej nieobecności nie zbywało na niczem.

— Mój ojciec — odparł młody człowiek — nie jest pozbawiony dumy i wiem, że gdyby nic nie miał, to i wtedy nawet nigdyby nikogo o nic nie poprosił, jednego chyba tylko Boga!

— W takim razie mam nadzieję, że przyjdiesz do nas przed wieczorem?

— Raz jeszcze zechce mi pan wybaczyć. Gdy ojcem się nacieszę, czekają mnie inne jeszcze odwiedziny...

— Ach! prawda! Zapomniałem na śmierć, że jest jeszcze ktoś drugi

z niemniejszą oczekujący cię niecierpliwością.

Piękna Mercedes, nieprawdaż?

Dantes aż po czoło oblał się purpurą.

— Coś trzykrotnie przychodziła się pytać, czy niema jakich wiadomości o Faraonie. Do diabła! szczęśliwy jesteś, Edmundzie, bo naprawdę śliczną kochasz dziewczynę.

— To narzeczona moja — sucho i poważnie odpowiedział Dantes.

— Toć przecież wszystko jedno — odparł, śmiejąc się właściciel statku.

— U nas — nie jest to jedno — z naciskiem i jeszcze zimniej rzekł Dantes.

— A więc idź już, idź, kochany Dantesie, nie zatrzymuję cię dłużej. Dosyć się napracowałeś dla mnie i masz prawo teraz do odpoczynku i swobody. A może potrzebujesz pieniędzy?

— Dziękuję bardzo, oszczędziłem ich trochę w czasie podróży, całą trzymiesięczną pensję zaoszczędziłem sobie.

— Porządny z ciebie człowiek, Edmundzie.

— Mam ojca, pan wiesz przecież o tem.

— O! wiem, wiem, że jesteś wprost wyjątkowym synem. Śpiesz więc powitać ojca. Ja mam również syna i nie byłbym bynajmniej wdzięczny, gdyby go kto po trzymiesięcznej podróży zatrzymał zbyt długo przy sobie.

— A więc żegnam pana — rzekł, składając ukłon głęboki i uśmiechając się wdzięcznie, młody człowiek.

— Bywaj więc zdrów, jeżeli nie masz mi już więcej do powiedzenia.

— Nic już, szanowny panie.

— A czy czasem kapitan Leclerc nie polecił ci przed śmiercią oddania mi listu jakiegoś?

— Kapitan przed śmiercią był bezwładny i nie był w stanie pisać. Dobrze jednak, że sobie przypomniałem. Chciałbym oto prosić pana o parodniowy urlop.

— Chcesz się ożenić zapewne?

— I to również. Lecz przedtem muszę pojechać do Paryża.

— Dobrze. Daję ci swobodę na tak długo, jak ci to będzie potrzebne. Na wyładowanie statku potrzeba conajmniej sześciu tygodni, Faraon przeto najwcześniej za trzy miesiące gotów będzie pod żagle. Na ten termin musisz więc się stawić. Faraon bowiem — rzekł w końcu, podnosząc głos, właściciel statku —

nie mógłby się przecież obejść bez swego kapitana!

— Kapitana?! — zawołał Dantes, a oczy rozbłysły mu radością. — Zastanów się dobrze, drogi p. Morrel, nad tem, coś powiedział. Czy ma pan istotnie zamiar zamianowania mnie kapitanem Faraona?

— Gdyby to ode mnie wyłącznie zależało, podałbym ci rękę, mój drogi Dantesie, i powiedział: „jesteś kapitanem”. Ale mam współnika! — a znasz włoskie przysłowie: „kto ma współnika

— jest niewolnikiem”. W połowie jednak sprawa jest załatwiona, albowiem z dwóch głosów, — jednego możesz być pewnym; polegaj zresztą na mnie, że i drugi pozyskasz.

— O, zacny panie Morrel — zawołał młody marynarz, ściskając ręce pryncypała ze łzami w oczach. — Dziękuję ci, szlachetny panie Morrel, w imieniu ojca mojego i mojej Mercedes.

— Bądź spokojny, drogi Edmundzie! Cóż u diabła! — jest przecież Bóg na niebie, co się opiekuje poczciwymi. Idź, idź do ojca, idź do swej Mercedes, a potem przychodź do mnie.

— Pozwoli pan, abym go odwiózł do brzegu?

— Nie potrzeba, dziękuję ci; zostanę jeszcze chwilę tutaj dla obliczenia się z Danglarsem. Czy byłeś z niego zadowolony w czasie podróży?

— Nie orjentuję się, w jakiej myśli pan o to zapytuje? Jako z towarzysza, — nie mogłem być zadowolony, wiem bowiem, że mnie nie lubi, od tej chwili zwłaszcza, gdym popełnił wielką niedorzeczność i wyzwał go na pojedynek, z racji bardzo błahej sprzeczki, jaka zaszła między nami. Zażądałem, abyśmy zatrzymali się na dziesięć minut na wyspie Monte-Christo, dla zakończenia ostatecznie sporu. Głupstwo zrobiłem, że go wyzwałem, i jestem mu wdzięczny, iż przejawiał rozum, odrzucając spotkanie. — Jeżeli jednak pan zapyta mnie o niego, jako o buchaltera, to odpowiem, iż spełnia swe obowiązki z całą gorliwością.

— Więc jako kapitan nie masz nic przeciwko temu, by Danglars pozostał na stanowisku buchaltera?

— Czy jako kapitan, czy jako porucznik, potrafię zawsze uszanować każdego, kto będzie obdarzony zaufaniem mych chlebodawców.

— No, widzę, iż pod każdym względem jesteś prawy

człowiek. Lecz idźże już sobie, bo widzę, iż stoisz jak na szpilkach.

— Do widzenia, panie Morrel, racz pan raz jeszcze przyjąć moje podziękowanie.

— Do widzenia, Edmundzie; życzę ci powodzenia.

Młody marynarz wskoczył do łodzi i dał rozkaz skierowania jej do Cannebiere. Dwaj majtkowie zanurzyli wiosła w wodę i po przez wąski przesmyk pomiędzy statkami wydostali się szybko na wolną toń i pomknęli do wybrzeża portu Orleans.

Morrel z uśmiechem na ustach przeprowadzał wzrokiem jadącego Edmunda, a następnie widział, jak wyskoczył on na ląd i znikł natychmiast w różnobarwnym tłumie, co od wczesnego rana aż do późnego wieczora zalega najwspanialszą w Marsylji ulicę Cannebiere, z której są tak dumni dzisiejsi Foceanie. Z najzimniejszą krwią i z największą pewnością, tak bardzo charakterystyczną dla nich, powiadają oni: „Gdyby Paryż miał Cannebiere, mógłby się nazwać wtedy małą Marsylją”.

Gdy Morrel stracił nakoniec z oczu Dantesa i odwrócił się, ujrzał przed sobą Danglarsa, który oczekiwał pozornie na jego rozkazy, w grucie rzeczy wszelako śledził również okiem młodego marynarza.

Wielka była różnica w wyrazie oczu tych dwóch ludzi, śledzących jednego i tego samego człowieka.

ROZDZIAŁ II.

OJCIEC I SYN.

Niechże sobie Danglars wysila swój genjusz zawiści, nie będziemy słuchali jego syczeń złośliwych, których celem jedynym — podanie w wątpliwość swego towarzysza, lecz udamy się z Dantesem.

Przebiegł już oto wzdłuż całą Cannebiere wpadł na ul. Noailles, do małego domku, po lewej stronie alei Meillan, przesadził jednym tchem cztery piętra po ciemnych schodach, by — jedną ręką trzymając się za poręcz, zaś drugą tłumiąc uderzenia serca — stanąć nakoniec pod drzwiami mieszkania ojca.

Wiadomość o przybyciu Faraona nie doszła jeszcze do uszu starca, który drżącą ręką rozpinał w chwili tej na drabince nasturcję, co Dantes miał możliwość zobaczyć przez uchylone drzwi.

Nagle starzec uczuł, że go ktoś wpół ujął, a znajomy głos odezwał się z tyłu.

— Ojczy! Drogi ojczy!...

Starzec krzyknął i odwrócił się nagle, a zobaczywszy syna — rzucił się w jego objęcia, drżący i blady.

— Co ci jest mój ojczy? — zawołał strwożony młodzieniec, — czyś nie chory czasami?

— Nie, nie, kochany Edmundzie, synu mój, dziecię moje, tylko nie miałem nadziei, że cię zobaczę w tej chwili. To z radości, ze szczęścia żem cię ujrział nakoniec. O Boże, Wielki Boże! — zdaje mi się, że umieram...

— Ojczy! — przyjdź do siebie! Patrz! — to ja, twój syn. Powiadają, że radość nikomu i nigdy zaszkodzić nie może, więc wbiegłem, nie uprzedzając cię. Powracam, abyśmy żyli razem szczęśliwie.

— Dobrze, już dobrze, mój chłopczy — odpowiedział starzec. Czy ty mnie tylko nie łudzisz? — Czy my istotnie będziemy szczęśliwi?... — czy nie opuścisz mnie już więcej?

— Oby mi Bóg przebaczył, że się raduję szczęściem okupionem żałobą innej rodziny, ale ten sam Bóg może być mym świadkiem, żem nie pragnął tego szczęścia. Samo przyszło i odtrącać go niema żadnej słusznej racji. Dzielny kapitan Leclerc umarł i ja, jak obiecywał p. Morrel, obejmę prawdopodobnie jego miejsce. W dwudziestym roku życia zostanę kapitanem. W dwudziestym roku życia mieć będę 20 luidorów pensji i udział w zyskach. Czy mógł się kiedykolwiek ubogi, jak ja majtek, spodziewać takiego losu?

— Prawda, mój synu, prawda — odparł starzec.

— Za pierwsze pieniądze, jakie otrzymam, urządzę ci mały domek z ogródkiem, byś mógł sobie pielęgnować ulubione kwiaty. Ale co ci to jest mój ojczy? Wyglądasz, jakbyś był chory.

— Bądź spokojny, mój synu, to tylko chwilowe osłabienie, które zaraz przejdzie.

Niestety, siły opuszczać zaczęły starca, aż się zachwiał i potoczył wtył.

— Napij się czego, ojczy, napij się szklanekę wina, to cię pokrzepi. Gdzie przechowujesz wino, ojczy?

— Dziękuję ci, nie szukaj go, nie będę pił — odparł starzec, usiłując powstrzymać syna.

— Ale pozwól, ojczy — zawołał Dantes i zaczął otwierać szafy.

— Próżno szukasz — wyszeptał starzec nakoniec — niema tam wina zupełnie.

— Jakto? — wina nie masz? — krzyknął Dantes blednąc i wpatrując się

w zapadłe policzki ojca oraz w próżne szafy — jednej kropli nie masz wina! Czyż ci nie starczyło pieniędzy? — Teraz mam wszystko, bo mam ciebie, mój synu.

— Przecież zostawiłem ci dwieście franków, gdym odjeżdżał przed trzema miesiącami — wyszeptał biedny młodzieniec, ocierając pot zimny z czoła.

— Tak, Edmundzie, to prawda. Zapomniałeś jednak wtedy zapłacić małego długu sąsiadowi Caderousse; upominał się i groził, że jeżeli mu nie zapłacę — uda się do pana Morrel, aby ten mu zapłacił; pojmujesz więc, że z obawy, aby ci to nie zaszkodziło, dług uregulowałem. Cóż miałem zrobić innego?

— sam osądź.

— Ależ. Boże mój!.. — ja mu byłem winien 140 franków — zawołał Dantes — a tyś miał 200 franków wszystkiego!

Starzec skinął głową w milczeniu.

— Tym sposobem, za 60 franków żyłeś przez trzy miesiące!

— Wiesz przecież, jak ja mało potrzebuję — odpowiedział starzec.

— Boże! Boże! Ojcze! — daruj mi, przebacz — zawołał Dantes, rzucając się do nóg starca.

— Wszystko to już minęło i teraz jest już znowu wszystko dobrze, gdy ty jesteś ze mną. O wszystkim zapomnieć możemy teraz. Jesteśmy szczęśliwi.

— Tak, jestem przy tobie, ojcze, jestem przy tobie i piękna przyszłość mi się uśmiecha, a i pieniędzy mam dosyć. Masz je, masz je wszystkie, ojcze, bierz i posyłaj, by ci natychmiast co przynieśli.

Wysypał na stół z kieszeni dwanaście sztuk złota i sześć sztuk pięciofrankowych.

Twarz starca sposepniała.

— Dla kogóż to? — zapytał.

— Dla mnie, dla ciebie, dla nas wszystkich! Bierz, każ kupić zaraz czego potrzeba i bądź o przyszłość spokojny, bo jutro mieć będę więcej.

— Zwolna, zwolna, — rzekł starzec — i łagodny uśmiech ukazał się na jego ustach; muszę oszczędnie obchodzić się z twą kieszą. Gdyby zobaczono, że wiele kupuję i tak odrazu — powiedzianoby niezawodnie, że na ciebie czekał z zakupami.

— Rób więc, jak uważasz, drogi ojcze. Ale przede wszystkim przyjmij służącego, proszę cię bardzo o to. Ne chcę, abyś żył samotnie i męczył się po dawnemu. Mam trochę kawy kontrabandowej i nieco najlepszego tytoniu

w skrzyni na spodzie okrętu ukrytej; jutroci to przyniosę.

— Lecz zdaje mi się, że ktoś nadchodzi?

— To Caderousse; musiał się już dowiedzieć, żeś przyjechał i przychodzi powitać cię z podróży.

— Zobaczymy zatem rzecz zwykłą: usta co innego, a serce co innego — czujące i życzące; mniejsza jednak o to. Bądź co bądź jest to sąsiad, — który kiedyś pomógł nam w potrzebie, należy zatem dobrze go przyjąć.

W chwili, gdy Edmund kończył tę uwagę, wypowiedzianą głosem przyciszonym, we drzwiach wejściowych ukazał się Caderousse, zgarbiony, o włosach czarnych kędzierzawych, mogący mieć lat co najmniej 25 do 26-ciu; trzymał w ręku kawał sukna, które, jako krawiec z powołania przykładać miał na suknię.

— Wróciłeś na koniec, Edmundzie?... — zawołał z akcentem czysto marsylskim, otwierając szeroko usta do uśmiechu i ukazując zęby białe, jakby z kości słoniowej.

— Przybyłem, jak widzisz, panie sąsiedzie, i gotów jestem na twe rozkazy — odrzekł Dantes, niezręcznie ukrywając oziębłość.

— Dziękuję za dobre chęci, dziękuję. Bogu jednak chwała, że nic od nikogo nie potrzebuję; inni, owszem, czasami czegoś ode mnie potrzebować mogą, zdarzały się już takie wypadki. Nie mówię tego do ciebie, mój młody kawalerze; pożyczyłem ci wprawdzie kiedyś trochę grosza, no, ale mi to oddałeś, więc rachunek skończony.

— Nie możemy nigdy wypłacić się w zupełności tym, którzy nam przysługę wyświadczyli; wdzięczność bowiem zawsze się im od nas należy.

— E! — co tam gadać o tem! Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Pomówmy lepiej o twojej podróży. Poszedłem oto do portu, jak zwykle, by się zaopatrzyć w sukno i spotkałem Danglarsa. A ty co tu robisz w Marsylji? — zapytałem go. A tyś myślał, żeś w Smyrnie? — odpowiedział. I dobrześ myślał, bo właśnie stamtąd wracam. Ale gdzie to nasz młody Edmundek? — Naturalnie, że musi być u ojca — odpowiedział mi na to Danglars, więc przyszedłem tu natychmiast, aby uścisnąć z serca twoją rękę.

— Poczciwy Caderousse! — rzucił spostrzeżenie starzec — jak on nas kocha serdecznie.

— Niezawodnie, że was kocham, a co więcej — szanuję, boć to teraz o ludzi poczciwych nie łatwo. Hm! — widzę żeś powrócił bogatym, mój chłopcze — mówił

dalej krawiec, spoglądając chciwie na sztuki złota i srebra, rozrzucone po stole.

Młodzieniec dostrzegł iskry chciwości malujące się w oczach sąsiada.

— To nie moje — rzekł niedbale. — Mówiłem właśnie ojcu, że byłem w obawie, czy mu czego nie brakło w czasie mej nieobecności, a on dla uspokojenia mnie wysypał oto z worka tyle pieniędzy. Mój ojciec, schowaj je do szuflady; może nasz sąsiad Caderousse będzie kiedy potrzebował, to mieć będziemy sposobność odwdzięczenia się mu.

— Uchowaj Boże, moje dziecko — zwołał Caderousse — ja Bogu dzięki nic nie potrzebuję; praca zawsze wyżywi człowieka, schowaj więc sobie te pieniądze, bo nigdy ich mieć nie można zbyt wiele. A swoją drogą bardzo ci dziękuję za twą gotowość i przyjmuję chęć za uczynek.

— Gotów jestem służyć ci zawsze z całego serca. — odpowiedział Dantes.

— Nie wątpię o tem. Ale jak tam twoje sprawy? Jesteś podobno na bardzo dobrej stopie z panem Morrelem?

— Pan Morrel jest zawsze nad zasługę łaskaw na mnie.

— I dlaczegóż nie przyjąłeś jego zaproszenia na obiad?

— Jakto? — Dantes nie przyjął zaproszenia na obiad? — wmieszał się do rozmowy stary Dantes. — Powiedz, Edmundzie, czy pan Morrel istotnie cię zapraszał do siebie?

— Tak jest, ojciec.

— Mój synu, jak mogłeś mu odmówić?

— Bom pragnął cię przede wszystkim zobaczyć, drogi ojciec! — odparł młodzieniec — bo się do ciebie śpieszyłem.

— Mogło to być przykre panu Morrel. A gdy kto chce zostać kapitanem, — nie powinien się narażać swemu zwierzchnikowi.

— Wyłożyłem mu powody odmowy i sądzę, że je uznał.

— Daj Boże! — dorzucił swe słowa Caderousse. Wszyscy twoi przyjaciele cieszyć się będą jeżeli nie minie cię to przyobiecane kapitaństwo. A wiem, że i za cytadelą świętego Mikołaja ktoś z tego szczerze radować się będzie.

— Mercedes! — rzekł starzec.

— Tak, mój ojciec — powiedział Dantes — którą, jeżeli pozwolisz, chciałbym teraz, gdym cię już uściskał, zobaczyć także.

— Idź, moje dziecko, idź — odrzekł stary Dantes — i niech Bóg tobie i twej żonie we wszystkim błogosławi.

— Żonie?... Przedwczesne. sąsiedzie, zasyłasz przed tron nieba modły. Mercedes nie jest przecie jeszcze Edmunda żoną?

— zawołał Caderousse.

— Nie, ale już wkrótce zostanie.

— I dobrze zrobisz, jeżeli szybko to urzeczywistnisz. Młodym i ładnym dziewczętom nie trudno bowiem o kochanków.

— Czyż istotnie? — zapytał Edmund i lekki cień niepokoju przemknął po jego twarzy.

— Słyszałem sam, że twej narzeczonej bardzo dobre trafiały się partje. Że jednak ty niezadługo będziesz kapitanem, więc nie ośmiela ci się odmówić.

— To znaczy, mówiąc wyraźniej, że gdybym nie był kapitanem... to by mi odmówiono, lecz ja jestem pewny swej Mercedes i wierzę, że mnie nie zdradzi.

— Daj Boże! — rzekł Caderousse — kto się decyduje na małżeństwo to musi ufać i wierzyć. — Co mi tam zresztą do tego. Jednak posłuchaj mojej rady i idź do niej natychmiast.

— Czynię to właśnie. — Mówiąc to, Edmund ucisnął ojca, lekkim skinieniem głowy pożegnał Caderoussa wybiegł na ulicę.

Caderousse na chwilę zatrzymał się jeszcze u starca, następnie wyszedł i spotkał na pierwszym zaraz rogu Danglarsa.

— I cóż, — widziałeś go?

— Rozstaliśmy się przed chwilą — odpowiedział Caderousse.

— Mówił o tem, iż ma nadzieję zostania kapitanem?

— Mówił o tem takim tonem, jakby to był już fakt dokonany.

— Bodaj jednak, że się pomyli w tych rachubach.

— Djabli wiedzą! Pan Morrel, zdaje się, przyrzekł mu z całą pewnością.

— No! — wyrzucił Danglars, — jeszcze nim nie został.

— Daję słowo, że dobrzeby było, gdyby nim nie został. Już dziś zadziera nosa, a cóżby było dopiero, gdyby istotnie został kapitanem!

— Jeżeli zechcemy — wycedził cicho Danglars — to z tych jego marzeń nic nie będzie i pozostanie tem, czem jest teraz, a nawet — może i to utraci.

— Co ty mówisz?!

— Ależ nic nie mówię. Ot, tak sobie rzuciłem słowa na wiatr. Ale... ale... czy on ciągle jeszcze się kocha w tej dziewczynie?

— Bez opamiętania! Właśnie poszedł do niej, lecz myślę, że znajdzie tam twardy orzech do zgryzienia.

— Tajemniczo jakoś się wyrażasz. Lecz widzę, że nie bardzo lubisz tego, Dantesa?...

— Nie mogę ścierpieć zarozumialców.

— Powiedz mi jednak, co wiesz o tej jego kochance?

— Nie wiem nic dokładnie. Powiedzieć jednak mogę z całą pewnością, że ile razy Mercedes idzie do miasta, to nieodmiennie towarzyszy jej jakiś olbrzymiego wrzostu katalończyk, o czarnem oku i śniadej twarzy; jest to zresztą jakiś jej krewny podobno.

— Nie wątpisz wszelako, że ten niby krewniak — umizga się do panienki...

— Tak mi się przynajmniej wydaje. Bo cóżby innego robił chłopak lat dwudziestu, do dwudziestu dwóch, przy siedemnastoletniej i do tego pięknej dziewczynie?

— Powiadasz, że Dantes właśnie poszedł do katalonów?

— Przed chwilą.

— Pójdziemy i my w tamtą stronę. Posiedzimy sobie chwilę w trattorii Pamfila i przy szklance Marsala czekać będziemy, co też z tego wyniknie?

Caderousse zgodził się na projekt bez większego oporu i para, jeżeli nie przyjaciół, to ludzi sprzymierzonych nienawiścią, szybko podążyła naprzód.

Przyszedłszy na miejsce, kazali sobie podać małą buteleczkę Marsali i zaczęli zwolna popijać.

Pan Pamfil przed dziesięcioma conajwyżej minutami widział przechodzącego Dantesa.

Nie ulegało więc wątpliwości, że poszedł do katalonów, pod cieniem rozkwitających krzewów i pod gałęziami, na których całe falangi ptasząt wyśpiewywały hymny radosne, na cześć pierwszych uśmiechów wiosny.

ROZDZIAŁ III.

RODZINA KATALOŃSKA.

O sto kroków od miejsca, gdzie dwaj przyjaciele zapijali Marsalę, wyęzając wzrok i uszy, poza wgórzem wypalonem od słońca i surowych wiatrów wschodnich, — wznosiła się mała skromna wioska, do skał przyczepiona.

W czasie, którego dokładnie oznaczyć nie umiemy, tajemnicza osada przybyła z Hiszpanji, zajęła ów kawałek ziemi, na którym do dziś pozostaje.

Naczelnik osady, znający język francuski, wniósł prośbę, by gmina Marsylska przeznaczyła mu tę ziemię niepłodną, na której wzorem starożytnych żeglarzy jego poddani założyć pragną swoje siedziby.

Przychylnono się do prośby tej i w trzy miesiące później powstała osada z dwunastu, czy piętnastu zabudowań, jakie wznieśli zamorscy cyganie.

Wioska ta w dziwny i malowniczy sposób, w stylu na poły hiszpańskim, na poły maurytańskim zbudowana, istnieje do dziś i żywi rodziny potomków pierwszych osadników, z pietyzmem przechowujących język swych ojców.

Po trzech, czy czterech wiekach potomkowie ci pozostali jeszcze wiernymi małemu przyłądkowi, na którym ich pradziadowie się osiedlili.

Musimy zaprowadzić czytelników na jedyną ulicę tej małej wioski i poprosić ich, aby zaszli z nami do domku, któremu gorące promienie słońca nadały zewnętrznie koloryt złotawy, pomnikom z marmuru właściwy, wewnątrz za to mury miały barwę niepokalaną białą, co stanowi główną cechę siedzib hiszpańskich.

Zwrócona do ściany piękna młoda dziewczyna o włosach jak skrzydła kruka i oczach gazelli, wilgotnych a płomiennych, rwała niecierpliwie smukłymi paluszkami płatki purpurowej róży; ręce jej, po łokcie obnażone, były nieco opalone, lecz z rysunku do Venus Callipigos podobne. Ręce te drżały w nerwowym niepokoju.

Nózką rasową, suchą, szczupłą zlekka uderzała o ziemię.

O trzy kroki od niej siedział na krześle, łokciem oparty o jakiś sprzęt spróchniały, młodzieniec wyniosły, mroczny, lat dwudziestu, i patrzył na nią wzrokiem, w którym malował się niepokój; wzrok ten badał i zapytywał o coś, lecz śmiałe i spokojne oczy dziewczyny zdawały się onieśmielać jej towarzysza.

— Weź pod uwagę, Mercedes, że to Święto Wiosny się zbliża i że jest to chwila na wesele najodpowiedniejsza.

— Już ci sto razy mówiłam, Fernandzie, i zawsze odmownie.

— Niech i tak będzie! — lecz powtórz raz jeszcze, że odrzucasz moją miłość, którą matka twoja uświęciła: powtórz mi to raz jeszcze, niech się upewnię, że

igrasz mojem szczęściem, że ani śmierć moja, ani życie nic a nic cię nie obchodzą. Boże mój! Boże! Lat dziesięć marzyłem o tem, że zostanę twoim mężem i dziś mam stracić tę nadzieję, co była celem jedynym życia mego...

— A czy ja kiedykolwiek nadzieję tę podsycalam? Czy masz mi do zarzucenia jedno choćby tylko jakieś przymilenie, choćby tylko jeden uśmiech, jedno spojrzenie? Przeciwnie. Powtarzałam ci zawsze: „kocham cię jak brata, więcej jednak ponad to nie żądaj ode mnie, bo serce me innemu oddałam”. Powtarzałam ci to setki razy, wszak prawda?

— Prawda, Mercedes, — odpowiedział młodzieniec — to jedno tylko od ciebie słyszałem niezmiennie. Zawsze obdarzałaś mnie bezmiernem okrucieństwem. Byłaś szczerą. Nie zapominaj jednak o świętej tradycji katalonów, by się pomiędzy sobą jedynie łączyli.

— Tradycja to tylko i zwyczaj. Więc nie jest żadnem prawem, ani bezwzględny obowiązkim. Radzę ci przeto, na Boga, nie powołuj się na ten zwyczaj, broniąc swej sprawy. A i to weź pod uwagę, że ty, Fernandzie, jesteś popisowym; lada chwila przeto zawezwać cię mogą pod sztandary narodowe! Zostaniesz żołnierzem, a wtedy co się ze mną stanie, biedną dziewczyną, ubogą sierotą, całym mieniem, której nędzna, waląca się chata i kilka starych sieci rybackich? Oto całe dziedzictwo moje, oto spadek mej matki, po ojcu i mój — po matce. Od jej śmierci minął już rok prawie. I przyznaj,

Fernandzie, czy ja nie z litości ludzkiej żyję prawie? Ty w swej dobroci mówisz mi wprawdzie, że jestem ci pomocna, lecz przecież wiem, że bierzesz mnie ze sobą, by połów razem odbywać. A ja ci nie odmawiam, bo jesteś synem brata ojca mojego, bośmy się razem wychowali, a jeszcze bardziej dlatego, że wiem jak bardzo by ci było przykro, gdybym odmówiła. Czuję przecież dobrze, że te ryby, które sprzedają i za które biorę pieniądze, aby potem było za co kupić konopi na sieci czuję to, powtarzam ci, Fernandzie, że to jałmużna jedynie.

Koniec wersji demonstracyjnej.

spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

